



Na zdjęciu: kpr. Piotr Osmólski ps. „Śmiga” (w mundurze) z kolegą (nazwisko nieznane).
Zdjęcie i wspomnienia wraz z wykazem żołnierzy oddziału partyzanckiego pod dowództwem Wojciecha Sa-
rżyńskiego udostępnił syn Piotra Osmólskiego - Tomasz Osmólski.
Do publikacji przekazał - Józef Osmólski (bratanek, syn Kazimierza Osmólskiego).

Dni, jakie pamiętam

Zima 1940 roku była bardzo ciężka. Transport nasz przywieziony z Ostaszkowa do Brześcia M/B czekał dwie doby na bocznicę w Brześciu na przekazanie nas Niemcom. W wagonach towarowych było zimno i głodno. Brak miejsca uniemożliwiał swobodę ruchów, zwłaszcza w nocy. Czterdzieści osób w wagonie mimo trudnych warunków, ale już na polskiej ziemi był bardziej znośny. Najbardziej dokuczały wszy, których każdy miał bardzo dużo. Tam w głębi Rosji jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym był niemożliwy. Teraz zaczęły się tworzyć plany na przyszłość. Po przejęciu Niemcy ulokowali nas w koszarach lotniczych na niewykończonym lotnisku w Małaszewiczach Małych. Koło się zamknęło. Tu w Brześciu 22 września dostałem się do niewoli i wróciłem spowrotem w to miejsce. Wracały, jak bumerang wspomnienia września. Walki na froncie, a potem niekończący się marsz nad Bóg, marsz forsowny i wyczerpujący. Szliśmy przeważnie nocą terenem otwartym, pod rękę czwórkami i śpiąc. Nie przypuszczałem, że idąc można spać, jak automaty posuwaliśmy się naprzód. Były postoje i ci, którzy odeszli na bok najczęściej nie dołączyli już do oddziału, zostawali. Zmęczenie było tak potworne, że człowiek nie reagował na nic, nie zdawał sobie sprawy z sytuacji w jakiej się znajdował, ani niebezpieczeństwa, jakie mu groziło. Ogrodzenie obozu tworzyło kształt prostokąta. W rogach ogrodzenia były dwie strażnice, każda z karabinem maszynowym i reflektorami. Zgodnie z regulaminem wolno nam było poruszać się po części placu w dzień. Natomiast w nocy wolno było wychodzić tylko do latryn, które od drutów ogrodzeniowych były oddalone ca 5m. Budki strażnicze wyposażone były w reflektory, którymi co 3 minuty był oświetlany plac i boczne ściany drutu.

Jeśli ktoś się znajdował poza latryną został zabity bez ostrzeżenia.

Już w pierwszych dniach pobytu w obozie zaczęła mi kiełkować myśl ucieczki. Myśl ta przerodziła się w postanowienie, że dalej nie pojadę i muszę być wolny.

Z takim postanowieniem dołączyło do mnie jeszcze dwóch kolegów, Zbigniew Ławuszczyk z Warszawy i Paweł Wrana z Tarnowskich Gór ze Śląska.

Wspólnie układaliśmy plan ucieczki po dokładnym rozpoznaniu terenu.

Za drutami było lotnisko zarosłe wysokimi burzanami, wysokości człowieka. Dalej przebiegał tor kolejowy, a za nim las.

Tor kolejowy od drutów odległy był około 1000m. Natomiast chwasty od drutów odległe były ca 3m, dzieliła ją wydeptana przez strażników droga.

Krótszy bok prostokąta obozowego miał długość ca 60m, natomiast dłuższy ca 120m.

W dzień na krótszej ścianie chodziło dwóch strażników, na dłuższej czterech.

Tak byli rozmieszczeni, że chodząc na swoich odcinkach mijali się. Podobnie było w nocy.

Plan ucieczki był następujący: w nocy obciągnąć druty w rejonie latryn, tak by można było między drutami prześliznąć się.

Odskok w chwasty, przeskok przez tory kolejowe i dalej w las.

Rozluźnienie drutów, które były solidnie napięte, można było robić po wygaszeniu reflektorów, które omiatały światłem co kilka minut.

Na zmianę we trójkę chodziliśmy co wieczór do latryn i dalej kocimi skokami do drutów.

Były to momenty pełne napięcia. Czynności te należało wykonać szybko i cicho, by nie zwrócić uwagi chodzących wartowników i obciążany drut nie wydał dźwięku.

Gdyby jedna z tych czynności nie została zachowana, wykonawca zapłaciłby to życiem.

Pośpiech nasz był uzasadniony ponieważ nieznaliśmy terminu przewiezienia nas do innego obozu, prawdopodobnie na terenie Niemiec.

W połowie miesiąca lutego 40 roku postanowiliśmy uciekać. Decyzję naszą przyspieszył fakt ucieczki jednego z naszych kolegów Ślązaka nazwiskiem Sito.

Był to potężnie zbudowany mężczyzna, wzrostu ponad 190cm, o bardzo silnym wzroku.

Na terenie ZSRR urządzał kącik spirytystyczny. Był hipnotyzerem.

- Pewnego razu podczas seansu, medium opowiadał nam co widzi na terenie Polski lecąc samolotem.

Seans trwał dość długo i w pewnym momencie podczas sprowadzania go na teren obozu medium nie mógł obudzić i był bardzo wyczerpany i blady.

Seanse odbywały się kilkakrotnie, oczywiście w tajemnicy.

Wszyscy przerzekaliśmy o tym nie mówić nikomu.

Przypomniała mi się treść piosenki śpiewanej tam. Ach nie odlatuj!

Miejscem zbiórki po opuszczeniu lotniska będzie tor kolejowy w ustalonym punkcie.

Ja wychodzę pierwszy, za mną Zbyszek i ostatni Paweł.

Wszedłem do latryny i obserwowałem wartowników.

Kiedy byli w bezpiecznej odległości dopadłem znajomego miejsca, prześliznąłem się przez druty, skok w burzany i zapalił się reflektor.

Tu już byłem bezpieczny. Na torze kolejowym czekałem na pozostałych. Czas włókł się bardzo powoli do czasu, kiedy zameldował się Zbyszek.

Na Pawła czekaliśmy dość długo, nie nadchodził, na terenie obozu panował spokój.

W takich chwilach minuta zamienia się w godzinę, nerwy napięte, myśli przebiegają przez mózg, jak błyskawice.

Podejmujemy decyzję marszu.

Paweł znał dobrze język niemiecki i podczas rozmowy przed ucieczką wyczuwałem jakby rezerwę, czy strach.

Prawdopodobnie zmienił decyzję i chyba miał na uwadze inne rozwiązanie.

Noc była ciemna i tylko śnieg umożliwiał ograniczoną widoczność.

Nagle usłyszeliśmy przed sobą "halt" i serię z broni maszynowej.

Skoczyliśmy w las i brzegiem pędziliśmy jak najdalej od zagrożonego miejsca.

Biegliśmy długo, byliśmy zziębnięci, pot spływał nam po ciele, chociaż mróz był siarczysty.

Robił się świt gdy zatrzymaliśmy się na skraju lasu. Obok lasu w odległości 0,5 km był kościółek i dwa domy, dalej wieś.

Wybraliśmy dom najbliższy kościoła. Byliśmy przekonani, że jest to plebania i mieszka ksiądz.

Było odwrotnie, ksiądz mieszkał w następnym domu i tam była plebania.

Niemniej mieszkanki domu przyjęły nas bardzo serdecznie i ze łzami. Mieszkały w nim matka, córka i wnuczka.

Mąż młodszej niewiasty oficer nie wrócił z wojny.

Opowiedzieliśmy kim jesteśmy i skąd wracamy. Dostaliśmy jeść i obie niewiasty prawie siłą chciały ułożyć nas do spania w łóżku. Nie wiele pomagały nasze ostrzeżenia, że wieziemy z dalekiego wschodu roje wszędy.

W końcu zasnęliśmy na słomie rozsypanej na podłodze, na czystej pościeli i pod grubą pierzyną.

Wieczorem otrzymawszy instrukcje marszowe, zapas jedzenia pożegnaliśmy prawie ciągle płaczące niewiasty.

My również pożegnaliśmy się ze Zbyszkim ponieważ nasze ścieżki rozchodziły się.

Ja musiałem iść na południe, on zaś na zachód.

Szedłem lasami i wertepami, mijając ludzi, wioski, kolonistów niemieckich, których po drodze było wiele.

Marsz w mundurze żołnierskim stwarzał wiele niebezpieczeństw. W pewnej wsi zaproponowałem chłopu zamianę mundura za cywilne ubranie, zgodził się. Lecz to co przyniósł na wymianę wzbudziło we mnie gniew.

Były to łachy dobre dla stracha na wróble, nie prosząc nawet o posiłek, poszedłem dalej.

Takich propozycji, już niee czyniłem nikomu więcej.

Mundur zdarłem w partyzantce.

W domu mój powrót wywołał zaskoczenie i radość. Na froncie było nas trzech. Najstarszy brat i ja wróciliśmy, lecz średni nie dawał żadnego znaku.

Mając na uwadze własne bezpieczeństwo w domu spałem tylko

jedną noc. Rodzice opowiadali o walkach, jakie miały miejsce we wrześniu 39 roku oraz rozbrajaniu się polskich oddziałów, o zakopywaniu broni.

Zabrałem się z zapalem do roboty.

Młodszy brat wskazywał miejsca gdzie ewentualnie była zakopana broń, ja zrobionym drutem kłując ziemię szukałem jej.

Tak chodząc co noc wykopałem 8 karabinów, kilka granatów i sporo amunicji.

Któregoś dnia wracając z bratem po całonocnym poszukiwaniu nieśliśmy pięć karabinów, granaty i amunicję.

Pora była bardzo wczesna, był wschód słońca.

Przeszliśmy most i w odległości około 100m za nami usłyszałem krzyk "stój, bo strzelam".

Na moście stał granatowy policjant z Grabowca Wawryniuk.

Podjąłem natychmiastową decyzję. Bratu kazałem uciekać, sam zaś złożyłem się do strzału w pozycji leżącej.

Karabin, który trzymałem w garści wymagał kosmetyki bo wszystko opanowała rdza i zamka nie było można ruszyć.

Lecz mój odruch był skuteczny, bo policjant znikł z mostu jak kamfora, ja miałem dalej spokojną drogę.

Jednocześnie szukałem kontaktu z organizacją, która już istniała na tym terenie.

Stosunkowo w krótkim czasie zostałem żołnierzem organizacji wojskowej pod nazwą Związek Walki Zbrojnej, późniejszej Armii Krajowej, w skrócie A.K.

W domu w dalszym ciągu byłem bardzo rzadko ze względu na częste wizyty policji pytającej o mnie. Wstąpienie do organizacji dawało mi poczucie bezpieczeństwa, kontakt z ludźmi typu wojskowego, oraz wiadomości z frontu walki, jak i ze świata.

Moim dowódcą był "Huragan" razem kwaterowaliśmy na koloni Gdeszyn u Maryni z podzielowanym okiem.

Tak ją nazywałem bo miała znamie pod okiem.

Była to starsza panna, która na zabój podkochiwała się w moim dowódcy, "Huragan" był dowódcą V rejonu.

W stodole pod kupą słomy mieliśmy wnękę, w której mogło zmieścić się cztery osoby, z wejściem z przybudówki,

w której był cielak. Jego sąsiedztwo nie przeszkadzało nam. Zresztą w schowku przebywaliśmy tylko w dzień, natomiast nocami oczyszczaliśmy swoje ścieżki z elementu niebezpiecznego. Wieś, jak i kolonia była mieszana. Mieszkali Polacy, jak i Ukraińcy. Mieszkał pop wraz z całą świtą w kościelną.

Ci zostali pierwsi uziemieni, a następnie ci, którzy coś widzieli lub słyszeli.

Noce spędzaliśmy pracowicie nie tylko na terenie kolonii, lecz robiliśmy wypadki do innych wsi.

Nawiązywaliśmy kontakty z ludźmi zaufanymi, obowiązywała ścisła konspiracja.

Likwidowaliśmy tych, którzy zdecydowali się na współpracę z okupantem, zaś gorliwców ostudzaaliśmy wymierzaniem odpowiedniej kary.

Akcje takie dawały poczucie bezpieczeństwa ludności ponieważ wiedzieli, że ktoś się nimi opiekuje i dba o ich bezpieczeństwo.

W drodze z Gdeszyna na południe przechodziliśmy przez Krzaki ^{Gdeszyńskie} ~~Deleszyńskie~~, była to mała kolonia licząca 5 zabudowań - wszyscy należeli do organizacji pod dowództwem "Jastrzębia" Józefa Kozyry.

Dalej była wieś Czartoria a przed nią dwa zabudowania w jednym z nich mieszkał ^{Staszuk} ~~Staszuk~~ przy ścieżce naszych przemarszów.

Staszuk podpisał folkslistę, a ponieważ miał czujne psy śledził nasze przejścia o czym dyskutował z sąsiadami.

Reakcja z naszej strony była natychmiastowa.

W nocy wyprowadziliśmy Staszuka na podwórze dostał w miękkie miejsce i do rana chłodził ją o betonowe kręgi studni.

Uniknął śmierci ze względu na liczną rodzinę.

Ostrzegaliśmy go, że jeśli dalej będzie pyskował wyda wyrok na siebie i rodzinę.

Za kilka dni wyjechał z całym majątkiem.

Rok 1940-41 rozpoczął okupant represjami na większą skalę.

W Grabowcu zostali aresztowani właściciel apteki Bykalski i jego brat inż. chemi, oraz Boczkowski Feliks. Kamforowski ^{Adam} ~~Adam~~ Wysocki ^{zginął} ~~zginął~~ w Oświęcimiu.

Praczecki Józef - ksiądz
Cieński Franciszek dr. med.
Kurdaś Stanisław dr. med.
Monika Kuczyńska - młoda

Osterucha Jan - młody gmin.
Surina Antoni - młody

Wójttem w Grabowcu był Wojnarowski, jak się okazało był on d-cą zachodniej Ukrainy.

To on decydował o życiu i śmierci mieszkańców. Został zlikwidowany w 42 roku w Peresłowicach, gdzie organizował twierdzę Ukraińską.

Represje okupanta przybierały na sile, gestapo w ciągłych aresztowaniach robiło spustoszenie wśród inteligencji polskiej. Lecz i nasze uderzenia odczuwał wróg.

Jesień 42 roku rozpoczęła się tragicznie dla ludności trzech powiatów: Zamojskiego, Hrubieszowskiego i Tomaszewskiego.

Okupant rozpoczął masowe wysiedlania ludności.

W ich miejsce nasiedlani byli Niemcy z terenów południowych, pospolicie nazwani "czarni".

Nam przybywał jeszcze jeden przeciwnik i utrudniał nasze nocne przemarsze.

Wysiedlono sąsiednią wieś Horyszów. Większość ludności polskiej już wcześniej opuściła swoje domostwa, o wysiedlaniu wiedzieliśmy lecz nie znaliśmy terminu i miejsca akcji.

Ludność czuwała nad własnym bezpieczeństwem i w porę usuwała się. W prawdzie nie wszyscy podobnie postępowali, również i okupant stosował różne metody by nikt nie mógł ocaleć.

Otaczali całe wioski w nocy i z całą niemiecką brutalnością ładowali ludzi na wozy i wywozili do Zamościa.

A stąd po selekcji część do obozów, młodszy do robót w Niemczech, dzieci również przechodziły selekcję, które zabrano rodzicom. Dzieci zakwalifikowane do rasy nordyckiej wywożono do Niemiec w celu zniemczenia.

Akcje takie były przeprowadzane razem z nacjonalistami ukraińskimi, których Niemcy wrogo nastawili do Polaków, ci zaś w sposób bestialski mordowali ludność polską.

Na Wołyniu rozpoczęły się masowe mordy ludności polskiej, robiły to zorganizowane i uzbrojone przez Niemców bandy ukraińskie.

Ginęli ludzie od siekier, wideł i innych narzędzi a wioski palono.

Niemcy dążyli do totalnej zagłady ludności polskiej wszelkimi środkami.

Sytuacja wsi polskie stawała się coraz bardziej niepewna. Brak środków piorących, mydła, artykułów żywnościowych, ubrań obuwia stwarzał poważne problemy w wykonywaniu prac i zabezpieczenie rodziny egzystencji życiowej. Warunki życiowe wyczerpywały społeczeństwo fizycznie i psychicznie.

Noc sylwestrowa 31 grudnia 1942 roku zarządzono akcję na terenie Inspektoratu Zamość, która objęła pow. Zamość, Hrubieszów, Tomaszów, Biłgoraj i Krasnystaw.

Uderzenie skierowane było na stacje kolejowe, niszczone urządzenia stacyjne, rozjazdy, wieże ciśnień, połączenia telefoniczne, mosty i przepusty oraz słupy przewodów elektrycznych.

Ja brałem udział w demolowaniu stacji kolejowej w Miączynie. Akcja ta musiała być przeprowadzona dokładnie i szybko ze względu na to, że w Miączynie był silny oddział żandarmerii, który tu przebywał na stałe.

Ze względu na szerokie działania dywersyjne, niektóre oddziały były liczebnie szczupłe, tak jak nasz.

Niektóre wioski nasiedlone przez "czarnych" uniemożliwiały jakikolwiek ruch Polaków.

Przejazd względnie przejście przez wieś równało się i kończyło śmiercią.

Koloniści byli dobrze uzbrojeni i zanim objęli gospodarstwa przeszli szkolenie z zakresu wojskowości.

Jedną z takich wsi w pow. Zamojskim była duża wieś Czeszyn. Wieś z jednej strony otoczona rzeką, na moście wystawiono straż w dzień, zaś w nocy straż wzmocniona. Natomiast we wsi mieli placówkę i oddziały do obrony.

Zapadła decyzja pacyfikacji Czeszyna, całkowite zniszczenie łącznie z ludnością.

Była mroźna i śnieżna noc styczniowa 42 roku, gdy oddziały nasze podchodziły na stanowiska wyjściowe.

Atak na wieś nastąpił z trzech stron, atakując ludność i paląc zagrody.

Odmarasz oddziału na własne tereny ^{przebieg} dziesiątki kilometrów. Mimo rozpaczliwej obrony kolonistów wieś została spalona wraz z jej mieszkańcami. Akcja była dokonana błyskawicznie. Czeszyn podzielał ostrzegawczo na inne wsie. Część kolonistów, mimo sprzeciwu okupanta zostawiała gospodarstwa i uciekała, pozostali czuli się niepewnie a ich nienawiść do ludności polskiej słabła. Byli i tacy, że nie chcieli mieszkać sami i zatrzymywali Polaków celem wspólnego zamieszkania. Akcją pacyfikacji wsi Czeszyn dowodził p.por. "Góral", który zginął prowadząc atak w bitwie z żandarmerią niemiecką w maju 43 roku w lasach strzeleckich. Wzrastała aktywność i liczebność oddziałów partyzanckich. Likwidowano szpicli, niszczono w gminach dokumentację, zabierano gotówkę i żywność - paraliżowano życie gospodarcze wroga. Niszczono młockarnie, kieraty, palono sterty ze zbożem, wysadzano pociągi, niszczono mosty, urządzenia stacyjne, akcje te były prowadzone periodicznie. Osłabiało to gospodarkę wroga w poważnym stopniu, jak również zakłócało rytmiczne zaopatrzenie frontu, tak w broń, jak i w żywność. Z kolei nierytmiczne zaopatrzenie frontu powodowało osłabienie woli walki żołnierza i zachwiana jego pewność w słuszność walki, oraz niepewność jej końca. Była to walka militarna, polityczna i psychologiczna. Wprawdzie wróg był jeszcze silny, lecz już było widać, że nie jest zdolny odpowiadać na ciosy zadawane mu przez partyzantów. Z naszej strony ataki były coraz częstsze, skuteczne i osłabiały siły wroga. Nasilały się mordy band ukraińskich na ludności polskiej podsycane propagandą niemiecką. Objęły one największą skalą tereny Wołynia, oraz południowej części powiatów Hrubieszowskiego i Tomaszewskiego, wprawdzie w mniejszym stopniu lecz z tendencją nasilania.

Było to dążenie nacjonalistów ukraińskich do wymordowania Polaków i przejęcia tych ziem przez Ukraińców.

Taka polityka była ślepotą postępowania.

Front wschodni przesuwał się w kierunku granic Polski.

Niemiecka potęga łamała się i kruszyła.

Lecz ^kślócone doprowadzone do wrogości dwa narody odciążały Niemców w pewnej mierze walką z Ruchem Oporu, wyręczała ich w tym Ukraińska Powstańcza Armia.

Niemcy swój cel osiągnęli, lała się obficie krew Polska i Ukraińska, płonęły wsie, a z nim dorobek całego życia ich mieszkańców.

Ludność uchodziła z życiem pod osłoną oddziałów partyzanckich w bezpieczne rejony.

My traciliśmy sojusznika i punkty oparcia, w istniejących dotychczas wioskach.

Byliśmy słabi liczebnie, by stawić czoła silniejszemu wrogowi. Lecz robiliśmy wszystko z narażeniem życia aby przedłużyć naszą obecność, jak najdłużej na tych terenach.

W lutym 43 roku nasi chłopcy z terenów ukraińskich donieśli, że w jednej miejscowości ukraińskiej obchodzone będzie jakieś święto, na którym obecni będą przedstawiciele Komitetu Ukraińskiego z Hrubieszowa.

Zaprosiliśmy się na uroczystość w sile plutonu pod dowództwem "Żbika".

Prowadzili chłopcy doskonale znający wszystkie ścieżki terenu. Późnym wieczorem byliśmy na miejscu.

Droga była dobra, śniegu było bardzo mało, natomiast mróz był siarczysty.

Uroczystość odbywała się w szkole wypełnionej po brzegi. Czuli się tak bezpiecznie, że nie wystawili ubezpieczenia, co nam ułatwiło przeprowadzenie akcji.

Podszłem pod okno i zajrzałem do środka, było ludno.

Zdecydowaliśmy, że w tej sytuacji granaty załatwią wszystko, tak też się stało.

Rzuconych jednocześnie kilka granatów w różne części sali zrobiły jatkę.

RKem, który chciałem uruchomić, odmówił posłuszeństwa-zamarzył. Obaskoczyliśmy kilka domów, wskazanych przez miejscowych chłopców, gdzie mieszkali aktywni upowcy, lecz nie zastaliśmy nikogo. Prawdopodobnie wszyscy byli na uroczystości w szkole. Kilka sań zabranych z końmi załadowaliśmy żywnością i odzieżą w drodze powrotnej.

Akcja nasza była udana.

Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że zginęło dużo osób, a wśród nich przewodniczący z Komitetu z Hrubieszowa.

W maju 43 roku po stoczonej bitwie w lasach strzeleckich z żandarmerią, jeden z oddziałów wycofujący się z miejsca walki zatrzymał się w lasach świdnickich.

Dołączyłem do nich w czasie przemarszu.

W trakcie bitwy zginął dowódca kompani por. "Góral" Franciszek Krakiewicz.

Sytuacja oddziału była bardzo zła. Przez cały czas przemarszu lał deszcz, wprawdzie ^{nie} umożliwiało to oddziałowi pościg żandarmerii, która po porażce wzmocnionymi siłami ruszyła tropem oddziału.

Deszcz padał trzy doby. Mimo bezpośredniego sąsiedztwa żandarmów w posterunku w Miączynie odległym około dwóch kilometrów, paliliśmy ognisko susząc mokre ubrania i grzejąc się przy ogniu.

O spaniu nie mogło być mowy.

Drugiego dnia pobytu w lesie dostałem rozkaz skontaktowania się z miejscowym d-cą batalionu "Bisem" mieszkającym w Swidnikach celem dostarczenia oddziałowi żywności.

Otrzymaliśmy chleb, tłuszcz i mięso.

Nastrój wśród chłopców poprawił się, a w dodatku przestał padać deszcz.

Zapadła decyzja czasowego rozwiązania oddziału. Ci, którzy mogli jeszcze przebywać we własnych domach, wrócili do nich, natomiast ci, którzy już do domów nie mogli wrócić-spaleni przeszli na wyznaczone kwatery.

Ja należałem do spalonych i wróciłem na swoją kwaterę w Gdeszynie.

Większość żołnierzy została zakwaterowana we wsi Czartoria. Była to-

Była to wieś oddalona od szosy o 3 km, położona obok wprawdzie niedużego lasu, lecz i ten w razie konieczności dawał schronienie. Drugą zaletą tej wsi było to, że prawie wszyscy jej mieszkańcy byli związani z Ruchem Oporu, względnie widzieli o jego istnieniu jako sympatycy.

Z kolonii miączyńskiej do dziewczyny z Czartorii chodził chłopak.

Chłopak był synem kolonisty niemieckiego osiadłego przed wojną.

Dostał ostrzeżenie, by skończył swoje zaloty, tak mu doradzali koledzy, bo może go spotkać przykrość.

Oświadczył, że nie boi się nikogo, a dla obrony ma pistolet.

Pewnego dnia obaj z "Piratem" postanowiliśmy spotkać chłopaka i przekonać go, że nie ma sensu udawać mocnego.

Zabraliśmy mu pistolet, dostał porcję kijów i ostrzegliśmy go, że jeśli coś o tym piśnie to wyślemy go tam skąd się już nie wraca.

Dziewczynę ostrzegliśmy, że jeśli jeszcze spotka się z folksdojczem ogolimy jej głowę.

Pomogło, w dalszym ciągu we wsi był spokój. Nazwiska kolonisty niestety nie pamiętam, spotkanie miało miejsce poza wioską.

Coraz więcej napływało chłopców spalonych, których należało wcielić do oddziału.

W czerwcu pozostawiono gościnną wieś i w lesie grabowieckim zorganizował się oddział w sile kompanii.

Dowódcą całości był zastępca Komendanta Obwodu Hrubieszów "Azja".

Ponieważ moja kwatera prawie przylegała do lasu, a na pokonanie tej trasy wystarczyło pół godziny marszu, od czasu do czasu przychodziłem do oddziału.

Któregoś dnia wezwał mnie "Huragan" i zapytał czy znam jakiegoś oficera, względnie podoficera w Grabowcu, oświadczyłem, że znam.

Rozkaz był skontaktować się z oficerem względnie podoficerem i doprowadzić do lasu celem zaprzysiężenia.

W Grabowcu po masowych aresztowaniach w roku ubiegłym przez gestapo nie się nie działo.

Pierwsze kroki skierowałem do Pawła Rynkiewicza-był oficerem wojska Polskiego.

Niestety nie zastałem go. Ze względu na bezpieczeństwo wyprowadził się do Rogowa wieś oddalona od Grabowca 3 km.

Pozostali mi jeszcze podoficerowie: Matwiejczuk Bogusław st. sierżant, oraz kaprale Piotr Kozłowski i Bronisław Bydlicki. Matwiejczuk nie chciał angażować się w pracę konspiracyjną, natomiast Kozłowski i Bydlicki wyrazili zgodę i złożyli przysięgę w lesie grabowieckim.

Paweł Rynkiewicz dowiedziawszy się o powstaniu założył oddział i wrócił na teren Grabowca i rozpoczął prace organizacyjne.

Powstał nowy oddział, który jak większość oddziałów posiadał własne uzbrojenie przechowane z okresu wojny 39 roku.

W Grabowcu Niemcy zorganizowali silny posterunek policji Ukraińskiej pod nadzorem dwóch oficerów żandarmerii.

Budynek posterunku był nie do zdobycia.

Była to budowla z okresu caratu wybudowana w rodzaju fortu, o ścianach grubości dwóch metrów i oknach strzelniczych zabezpieczonych kratami.

Obsada posterunku wynosiła ponad 30 policjantów ukraińskich i dwóch żandarmów.

Mimo niepewności jutra, terroru, jaki panował, społeczeństwo przyjmowało to w sposób naturalny.

Ludzie w stosunku do siebie byli życzliwi, dzielili się dobrymi i złymi wiadomościami tworząc, jakby jedną rodzinę.

Kiedyś idąc przez wieś dopędził mnie człowiek średniego wieku, poważny. Rozmawialiśmy na temat wojny, mój rozmówca w pewnej chwili powiedział, "gdybym wiedział, które ślady stóp partyzanta ~~zginęli~~. - stali to bym je całował."

Były to słowa wzruszające, wyrażające życzliwość i wdzięczność chłopcom z lasu, jak ich potocznie nazywano.

5 września razem z Piratem wybraliśmy się późnym wieczorem do Czartorii. Tam spotkaliśmy szlak oddziału, Azję, Podkowę, Szarego i Maryskę.

Było już dość późno, dochodziła północ. Azja wczwał nas i oświadczył, że ze Skierbieszowa do Zamościa jutro raniutko będą wieźli większą sumę pieniędzy, czy zgadzamy się zabrać pieniądze.

Decyzja była szybka, oświadczyliśmy-tak.

Trzeba było się bardzo śpieszyć, ponieważ odległość do miejsca akcji wynosiła około 20 km.

Pod uwagę należało wziąć i to, że po drodze będziemy musieli omijać wioski nasiedlone przez kolonistów niemieckich.

Rozpoczęliśmy forsowny marsz, a właściwie bieg by zdążyć na miejsce przed wschodem słońca.

Droga była ciężka i męcząca.

Większą część trasy to był bieg na przełaj. Na szosie stanęliśmy spoceni, dysząc ze zmęczenia. Czas naglił.

Szosa, na której zatrzymaliśmy się nie była odpowiednim miejscem na zasadzkę z dwóch powodów: szosa biegła z góry w dół i las był odległy od szosy ponad 50m.

Zamierzaliśmy szukać innego miejsca, gdy w oddali dał się słyszeć turkot wozów.

Decyzja zapadła-tu.

Ukryci w krzakach czekaliśmy na nadjeżdżające wozy.

Następował wschód słońca.

Na horyzoncie, ku naszemu zdziwieniu ukazała się bryczka a na niej czterech żandarmów, o czym nie wiedzieliśmy przedtem.

Za bryczką w odległości około 150m, jechał nie jeden wóz, lecz kilka.

Przepuściliśmy bryczkę z żandarmami i kiedy wozy dojeżdżały na naszą wysokość, wyskoczyliśmy z krzaków biegiem na szosę do wozów. *zaskoczyli ich z bronią.*

Zaskoczenie było całkowite, na rozkaz zejścia z wozów i położenie się na skarpie wykonali natychmiast.

Pirat zajął się kasjerem jadącym na pierwszym wozie, ja czuwałem nad bezpieczeństwem pozostałych.

Jadącym kasjerem był mój kolega szkolny Wacław Jaroszyński. Na dyskusję nie było czasu i miejsca.

Odwrót z pieniędzmi nastąpił w przeciwnym kierunku naszego kierunku marszu.

Było konieczne z dwóch powodów, a to: wprowadzić nakładaliśmy drogi idąc przez las, który dawał nam bezpieczeństwo, jednocześnie utrudniał ewentualny pościg, który braliśmy pod uwagę.

Dalsza trasa marszu przebiegała spokojnie.

Dzień był ciepły, pogodny i słoneczny.

Zmęczeni szybkim marszem, nieprzespaną nocą i głodem, w południe postanowiliśmy odpocząć.

Mała polanka w lesie była dobrze naświetlana przez słońce i po kilkunastu minutach usnęliśmy.

Zbudził nas szelest i kroki kogoś, ktoś szedł w naszym kierunku.

Kończąc skokiem znaleźliśmy się w krzakach z pistoletami w garści.

Idącym okazał się miejscowy chłop, który uciekł przed żandarmerią przybyłą do wsi.

Wieczorem zameldowaliśmy się w oddziale przekazując gotówkę, której sumy nie znaliśmy.

Niemiecki komunikat brzmiał następująco: 6.IX.1943r. pięciu bandytów uzbrojonych w MP i karabiny, jeden był w mundurze policjanta niemieckiego zabrali agentowi SWG Jaroszyńskiemu 13.786zł.

Pościg podjęty przez posterunek w Skierbieszowie nie przyniósł rezultatu.

Przechodząc przez jakąś wieś pow. Krasnystaw potłukliśmy kierat rolnikowi, który młócił zboże na chleb Niemcom.

Wacek Jaroszyński przyjechał do mnie po wojnie i rozmawiając o akcji gdzie obaj ^{i Pirat} braliśmy udział twierdził, że nas było trzech. Tak to już jest, że akcja widziana przez kilka osób, każdy będzie ją inaczej odbierał i opisywał.

14 października 1943 roku "Huragan" wysłał mnie z meldunkiem do Hrubieszowa.

Po powrocie wchodząc do domu usłyszałem płacz Maryni.

Owładnęło mnie jakieś złe przeczucie, zapytałem ją co się stało, oświadczyła "Franuś nie żyje".

W dniu tym zginęli od kul Ukraińskich Franciszek Jasiński

"Huragan", oraz jego zastępcą miejscowy nauczyciel Ludwik Stopyra

Spadło to na mnie jak grom, lecz zrozumiałem, że gdybym nie pojechał do Hrubieszowa byłby trzeci trup. Nie mogłem zrozumieć, jak mogło do tego dojść. Znałem "Huragana" był odważny, zdecydowany lecz ostrożny. Ciężko mi było z tym faktem się pogodzić, mimo to, że zdawałem sobie sprawę z warunków w jakich żyjemy. Zginęli w przygotowanej na nich zasadzce. Był dla nich niebezpieczny. Wiedzieli, że trupami ukraińskimi użył kawał lasu, polowali na niego. Następcą "Huragana" został Wojciech Sarzyński "Żbik". Żbik miał swoją kwaterę na Krzakach Gdeszyńskich, gdzie kwatrował oddział pod dw. "Azji". Sam na kwaterze czułem się źle, a w tym czasie doszedł nowy żołnierz "Poręba" byliśmy razem na kwaterze u Maryni. Ja należałem już do domowników, nie wiem skąd Marynia znała moje imię mówiła do mnie "Piotruniu" - nasz Piotruniu. Była oddana naszej sprawie, dzieliła się wszystkim co miała, a miała niewiele, jak całe polskie społeczeństwo.

W październiku nocą wybrałem się do Grabowca, celem zmiany bielizny. Do domu nie mogłem dojść, ponieważ grasowała policja. Wracając po drodze spaliłem dwie sterty ze zbożem. W grudniu przed gwiazdką zebrałem dziesięciu partyzantów i wybraliśmy się nieco głębiej w wioski Ukraińskie w celach rekwi- zycji. Na koloni Gdeszyn zaczęliśmy odczuwać niedostatek żywności. Co pewien czas przechodziły oddziały partyzanckie, które trzeba było nakarmić. Przywieźliśmy trzy sanie żywności w tym, jednego świniaka, którego załadowanie na sanie wymagało wiele wysiłku, ważył chyba ze 300 kg. Jednocześnie przypędziliśmy 18 krów, które zostały rozmieszczone u gospodarzy i sukcesywnie były ubijane. Przywiezione prześcieradła przeznaczało się na bandaż. Nie sposób pominąć domu Tokarzów w Gdeszynie, przez którego gościnne progi przewinęło się wiele osób. Był to dom, w którym odczuwało się serdeczność, więź rodzinną i patriotyzm.

Kilkakrotnie w towarzystwie z-cy Kom.Obw. "Wyrwy" byliśmy gościnnie przyjmowani.

Liczna rodzina/pięć dziewcząt/ tak znała swoje obowiązki, że w domu była prawie niewidoczna.

Obaj z Piratem w zimie braliśmy dobre konie zaprzężone do sania, ja rkm Pirat mpi i urządzaliśmy polowanie na policję ukraińską, nocą drogą ujeżdżoną poza wsiami.

Którejś nocy jadąc obok wsi Hostyni^{12,20} przed nami zobaczyliśmy dwoje sania jadących w odstępie około 30m.

Mieliśmy dobre konie i szybko dopędziliśmy jadące przed nami sanie.

Byli to policjanci Ukraińscy, kilka serii z bliskiej odległości i było po wszystkim.

Natomiast pierwsze sanie poderwały konie i zaczęły się oddalać, prowadziłem ogień jadąc.

W tym czasie byliśmy na wysokości cerkwi, która była na środku wsi, oddalonej od nas około 800m.

Z cerkwi ostrzelano nas nieskutecznie z karabinu maszynowego.

Z drugiej strony wsi był tor kolejowy łączący Hrubieszów z Zamościem, po którym kursował pociąg pancerny, który w czasie naszej strzelaniny przejeżdżał obok wsi.

Pociąg pancerny ostrzelał wieś z broni maszynowej lecz powodów dla których Niemcy ostrzelali wieś Ukraińską i cerkiew bo ogień z cerkwi umilkł nie znam.

Na drugi dzień opowiadali Polacy mieszkający w Hostyni^{12,21}, że przy torach leżały kupy łusek po ostrzale pociągu pancernego wsi.

W pierwszej połowie lutego 44 roku rano jeszcze spaliśmy z Porębą poderwał nas z łóżek krzyk z-cy Kom. Obw. "Wyrwy" wy leżycie w łózkach a sotnik Ukraiński przeprowadza wywiad na koloni, a w nocy wydusi was jak myszy. Sotnikiem był Ukrainiec z sąsiedniej wsi Dobromierzycy Wiśniowski.

Wyskoczyliśmy szybko na drogę i jakby na zamówienie spotkaliśmy jadącą drogą siostrę Poręby.

Eksmiłowaliśmy ją z sania i pędem pędziliśmy w nadziei, że dopędzimy sotnika. Żeby dojechać do Dobromierzycy drogą trzeba było w pewnym miejscu skrócić pod kątem 45°.

Tak jadąc dopiero na początku wsi, której nie znaleźliśmy wyszła na

niewiasta. Zapytałem ją po ukraińsku gdzie żywiot Wiśniewski, więcej nie umiałem, pokazała nam piąty dom z lewej strony drogi. Zatrzymaliśmy konie przed domem, ja wszedłem pierwszy, Poręba za mną. On został w kuchni z żoną Wiśniewskiego, ja wszedłem do pokoju.

Przy stole siedział Wiśniewski trzymając patelnię z kaszą gryczaną. Izba była mała, zrobiłem dwa kroki i byłem przy nim i wtedy sotnik rzucił patelnię i skoczył na mnie.

Zwarliśmy się trzymając się za prawe ręce.

Moja ręka ścisnęła kolbę pistoletu, który tkwił w kieszeni kurtki. Byłem młody, wysportowany i jedno uderzenie kolanem w krótko zwolniło ucisk mojej ręki.

Oddałem dwa strzały w głowę przeciwnika. Padł martwy. W tym momencie baba wyrwała się Porębie, wyskoczyła na zewnątrz uciekając narobiła krzyku.

Wyskoczyliśmy z domu do koni i zawracając sanie na drodze padły pierwsze strzały w naszym kierunku.

Ruszyliśmy z kopyta. Poręba kierował końmi, ja włączałem biegi.

Cały czas odprowadzano nas strzałami.

Zrobiliśmy dwa błędy: sanie należało zawrócić do kierunku jazdy, babę należało zlikwidować i byłby spokój.

Wieś była położona nisko a istniejące roztopy wypełniły przydrożne rowy wodą.

Stwarzało to dodatkową trudność przy zawracaniu koni z saniami na wąskiej drodze i przedłużało czas odjazdu, w chwili zagrożenia.

Z drugiej strony gdybyśmy manipulowali końmi zwrócilibyśmy uwagę gospodarza na siebie i cała akcja mogłaby dostać w łeb.

Jednym słowem mieliśmy bardzo dużo szczęścia wychodząc cało z opresji ponieważ na wiosce było stałe pogotowie.

Po powrocie zameldowałem Kom. Obw. "Wyrwie" o likwidacji sotnika.

~~W dniu 27 lutego~~ *W dniu 16 września 1943 r.* przed południem z Piratem wybraliśmy się do Czartorii,

Wchodząc do wsi ludzie ostrzegali nas, że we wsi jest policja Ukraińska, przeprowadzają rewizję i mieli kogoś aresztować.

Pirat miał swoje mpi, ja pistolet siódmkę z jednym magazynkiem i dwa granaty.

Swój pistolet kal. 9 piętnastostrzałowy pożyczyłem koledze, ponieważ nie miałem zamiaru ruszać się z miejsca.

Ukraińcy wleźli nam sani w ręce, takiej okazji się nie marnuje, postanowiliśmy ich wykończyć. Znałem doskonale teren i miejsce na zasadzkę. Obojętnie którąś pójadą muszą przed Grabowcem wjechać w wąwóz, jedyną drogę. Ponieważ oni już wyjeżdżali końmi my biegliśmy przez las i parę minut przed nimi zajęliśmy miejsce wysoko na górze. Odbezpieczyłem granat i czekałszy aż wóz zbliży się do nas. Granat rzuciłem przed konie z takim wyliczeniem by wybuch nastąpił pod końmi.

Staliśmy tak, by granat wybuchając nie ranił nas. Wóz przejechał, granat został na drodze i wtedy kiedy zaczęliśmy strzelać do policjantów nastąpił wybuch granatu nie rażąc nas. Jeden z policjantów zeskoczył z wozu zostawiając karabin na drodze i zaczął uciekać.

Ja zsunąłem się na spodniach ze skarpy i rozpocząłem pogon. Po drodze zrzuciłem kożuch z lornetką i goniłem uciekiniera. Wystrzelałem resztę amunicji z pistoletu, policjant odstrzeliwał się też z pistoletu, lecz moje strzały były celne. Dopadłem go z pustym magazynkiem.

Ponieważ konie poniosły wóz z czterema policjantami, jak się później okazało już z trupami. Pirat podążał za mną. Nasz policjant obficie broczył krwią. Pirat skrócił mu cierpienie.

Zabrałem torbę, w której był plik zdjęć z adresami naszych chłopców, oraz siedem dyplomów niemieckich, w tym dwa płacone, za tępienie partyzantki polskiej.

Policjant nazywał się Dzirba i był zastępcą Komendanta Posterunku w Grabowcu.

Akcję dokonaliśmy w Makowym Dole. W lutym ²⁷~~28~~. II. 44r dostaliśmy wiadomość, że cały posterunek z Grabowca jedzie na odprawę do Teratynia.

Żebym plus nas szczęściu a to:

"Żbik" Wojciech Świątyński

"Srdiga" Piotr Czerwik

"Czerw." Jan Czerw

"Czerw." Edward Kuch

"Czerw." *Artyści* *Szymon*

"Pomysł" Jan Kowalski

"Pomysł" Jan Kowalski

"Pomysł" Jan Kowalski

"Pomysł" Jan Kowalski

"Pomysł" Jan Kowalski

Noc była ciemna i dobry gospodarz w taką noc nawet psa nie wypędziłby na dwór.
Wiał wiatr ze śniegiem, przed nami nie było nic widać, śnieg wciskał się wszędzie.
Do pokonania mieliśmy około 16 km drogi. Nad ranem dojechaliśmy do wsi Pręłaki po przenocowaniu w maj. Białowody na trasie przejazdu policjantów.
Do miejsca odprawy policjantów było około 5 km.
Pierwszy dom przy drodze zajęliśmy. Przerażeni mieszkańcy musieli podporządkować się naszym rozkazom.
Sytuacja była dość skomplikowana, w domu tym był krawiec.
Minęła godzina 10⁰⁰, a policjantów nie widać. W domu przybyło jeszcze kilka osób, które przyszły w różnych sprawach a musieli zostać do czasu zakończenia akcji.
Około 11³⁰ ukazały się pierwsze sanie. Ja z rkm. nie mogłem zająć stanowiska ponieważ utrudniał to śnieg, którego pokrywa sięgała około 1,5m. Pierwszą serię oddałem z biodra. W tym samym czasie "Żbik" rzucił granat pod jadące sanie.
Na pierwszych saniach jechali dwaj oficerowie ~~z żandarmami~~ ^{żandarmami} na drugich Kom. posterunku z policjantem. ~~żandarm i demuzdarz poster~~
Musiłem szybko zająć stanowisko z rkmem na drodze by mieć pole ostrzału.
Tak zaatakowaliśmy trzy sanie jadące za sobą. Reszta sań była rozciągnięta i jechały w większych odstępach.
Na odgłos strzałów zeskoczyli z sań i zaczęli uciekać do lasu.
Na miejscu zostało dwóch żandarmów, oraz sześciu policjantów ~~ukraińskich.~~ ^{z żandarmami i czterech policjantów ukraińskich}
^{z tym żandarmem i posterunkiem Łaszcz.}
Z naszej strony zginął Tadeusz Kurek "Osa".
Cała akcja trwała bardzo krótko. Zabraliśmy broń i dokumenty od zabitych oraz ciało naszego towarzysza broni.
Sańmi klucząc przez las ~~gdzie~~ pochowaliśmy "Osę".
Za naszymi sańmi biegł pies jednego z żandarmów, był rasowy i żał nam było go zabić, lecz stwarzał niebezpieczeństwo rozpoznania naszych ruchów, w wypadku pościgu.
Psa pozbyliśmy się przejeżdżając przez wieś.
Za uciekającymi policjantami, ze względu na szczupłość oddziału, zostało nas sześciu, pościgu zaniechaliśmy. Policjanci rozpierzchli się i na posterunek w Grabowcu nikt z nich nie wrócił.
~~Wszystko na styś stało się. "Osa" wzięty przez~~
~~niektórych z nich.~~

Posterunek został nieobsadzony, a w Grabowcu powstała Rzeczpospolita Grabowiecka. Z taką ~~organizacją~~^{organizacją} przeszła do historii Polski.

Od tej pory na terenie Grabowca oficjalnie stacjonowały oddziały partyzanckie, obecność Niemców była przypadkowa.

Pierwszego marca 1944 roku rano ogłoszono alarm..

Zbiórka z pełnym uzbrojeniem i wymarsz plutonu marszem ubezpieczonym. Dopiero w trakcie marszu dowiedzieliśmy się, że żdziemy w rejon bat. "Wiktora" tj. na południe w rejon Sokola.

Marsz był ciężki, błoto ziemi hrubieszowskiej przyczepiało się do butów i podnosząc nogę na bucie zostawało parę kilogramów. Szliśmy dość szybko. Wieczorem doszliśmy do koloni Borsuk.

Ale nie sądzoney był nam odpoczynek.

Jeszcze nie zdążyliśmy wejść na kwatery, dały się słyszeć strzały i wybuchł pożar, sąsiednia wieś została zaatakowana przez Ukraińców. Z marszu wkroczyliśmy do akcji.

Walka trwała do późnych godzin nocnych.

Na kwatery wróciliśmy nad ranem potwornie zmęczeni i głodni. Rozpoczęły się dni grozy na przestrzeni wielu kilometrów, obejmujące powiaty: Hrubieszów, Tomaszów Lubelski, Zamość i Biłgoraj.

To, co zobaczyliśmy w spalonych wioskach było tak potworne, że trudno było uwierzyć, że takiej zbrodni mógł dokonać człowiek. Walki trwały codziennie w różnych wsiach. Oddziały nasze były tak rozmieszczone, że na atak band ukraińskich odpowiadały ogniem.

Natomiast oddziały znajdujące się w pobliżu śpieszyły z pomocą. Atakujące bandy były licznie większe i lepiej uzbrojone. Nasze oddziały będąc stale w walce były przemęczone, niejednokrotnie przez cały dzień nie jedliśmy, podobnie było ze spaniem. Lecz walkę podejmowaliśmy tam, gdzie trzeba było ją prowadzić dla ochrony ludności, ich mienia i woli zemsty za dokonywane barbarzyństwo i mordy. Spotykaliśmy w każdej wsi podobne morderstwa. Ludzi spalonych żywcem w zagrodach, niewiasta z szlupanymi oczami, ucinięty język i piersi, oraz rozpruty brzuch dziecka rozdarte za nogi w pół. Ukraińcy nie przebierali w środkach i do mordów używali wszystkich środków: strzelby, ciekiera, noża, kółek, każdej morderczej broni.

było dobre, jeśli można nim było zadać śmierć.
19 marca nad ranem wróciliśmy na kwatery do koloni Borsuk i wtedy padły pierwsze strzały i zaczęły płonąć pierwsze zabudowania. Było jeszcze szaro przed wschodem słońca. Alarm postawił momentalnie wszystkich na nogi, mimo zmęczenia i głodu. Rozwiniętą tyralierą wyparliśmy Ukraińców, cofali się szybko, sytuacja była jeszcze nie jasna.
Nie znaliśmy się przeciwnika, on również nie znał naszej. Jedno nas gnębiło, po poprzedniej walce nie wiele zostało amunicji. Robił się świt, pod lasem zauważyliśmy cofających się przed nami patrol Ukraiński do zajętych pozycji swoich kolegów, którzy gęsto ostrzelali nas.
Zajęliśmy pozycje na łące, środkiem płynął strumyk. Pozycje nasze nie były dobrze usytuowane, lecz wycofanie się do koloni stworzyłoby możliwość spalenia jej przez Ukraińców. Oszczędzając amunicję ostrzeliwaliśmy się.
Ja musiałem po kilku seriach zmienić stanowisko rkm, bo był ciągle ostrzeliwany przez nieprzyjaciela z ciężkiej broni maszynowej.
Amunicji mieli dość, więc zasypywali nas ogniem. W pierwszych godzinach mieliśmy kilku rannych. W pewnym momencie seria przechodząc mi nad plecami raniła amunicyjnego Irka Szymczaka "Odmęta". Urwało mu koniec nosa, raniło policzek i przestrzał obu nóg poniżej kolan. Chodzić nie mógł, więc go wyniesiono. Za chwilę ja dostałem w rękę w trakcie zmiany magazynku. Na szczęście zaczął padać śnieg. Spadały duże płatki utrudniając widoczność.
Dwa budynki paliły się nie gaszone, były sygnałem dla sąsiednich oddziałów.
Okolo południa nadeszła odsiecz. Na tyły Ukraińców uderzył "Wiktor" zadając bandzie poważne straty, do niewoli dostał się ranny oficer, którego zostawili uciekając.
Były to chwile grozy, amunicja do rkm skończyła się, o uzupełnieniu nie było mowy. Lecz kolonia była uratowana.
Po likwidacji jednej z wiosek Ukraińskich rozpoczęliśmy marsz, w kierunku Hrubieszowa. Z dymiącej jeszcze wsi wyjechał samochód osobowy z trzema gestapowcami i jedną niewiastą.
Nie zatrzymali się na wezwanie.

Posypały się strzały z broni maszynowej, wóz zakolebał się i wpadł do rowu i sponął.

Za samochodem osobowym szosą, z palącej się wsi wyjechał samochód, a za nim wyłoniła się kolumna samochodów ciężarowych z ładunkiem dla frontu.

Kierowców wraz z wozami zwolniono i pojechali do Hrubieszowa. Oddziały nasze były dość liczne - kilkaset ludzi, a rozproszone w terenie robiły wrażenie dużej jednostki.

Część żołnierzy jechała na zdobycznych koniach robiąc wrażenie kawalerii. Tak nas ocenili żołnierze Niemieccy w Hrubieszowie.

W marszu niszcząc oddziały Ukraińskie doszliśmy do stacji kolejowej w Hrubieszowie, oddalonej od miasta około 0,5 km, którą opuścili Niemcy. Na stacji zostały zniszczone wszystkie urządzenia stacyjne.

Napotkani Polacy opowiadali, że władze Niemieckie wraz z załogą opuściły Hrubieszów, jak donieśli żołnierze z konwoju, na miasto idzie partyzantka w sile kilka tysięcy żołnierzy z kawalerią i artylerią. Do miasta nie wkraczaliśmy. ~~Do miasta nie wkraczaliśmy.~~ W drodze powrotnej na wysokości miejscowości Kosmów zostaliśmy ostrzelani z bunkrów nad Bugiem przez Niemców z moździerzy. Od jednego z pocisków zginął saper² oddziału "Podkowy", "Rak", większych strat nie było.

Spadło jeszcze kilka pocisków, ale oddział rozsypał się w tyralierę, po pierwszych wybuchach i następne nie wyrzuciły żadnych szkód.

Wracaliśmy zmęczeni, głodni, lecz syci zwycięstwem odniesionym w tym dniu.

Wracaliśmy na dobrze zasłużony odpoczynek.

Każda chwila spokoju była odpoczynkiem, bo chyba nie było dnia spokojnego. W dzień dym palących się zagród, w nocy łuny, były alarmem natychmiastowego wymarszu do obrony ludności i ich mienia.

Każdy ocalały dom, wioska były naszą ostoją i obrona miejscowej ludności była świętą koniecznością.

Nie mogliśmy dopuścić do realizacji zamierzeń band UPA wymordowania ludności i spalania wsi polskich.

W spotkaniach siły były nierówne. Oddziały UPA były liczniejsze, lepiej uzbrojone i wypoczęte.

Niemcy podwozili ich na miejsce akcji samochodami wioząc również zapasy amunicji, której nam było ciągle brak i którą trzeba było zdobywać, a w starciach oszczędzać. Mimo tych trudności w uzbrojeniu i zaopatrzeniu trwaliśmy, chociaż nasz teren działania kurczył się.

Do rozstrzygającej walki doszło w dniu 1 kwietnia 1944r. pod miejscowością Nowosiółki, gdzie batalion "Wiktora" stoczył zacięłą walkę z oddziałami UPA. W trakcie walki zginęło około dziesięciu żołnierzy, a wielu było rannych.

Ja również ^{o/o 112 a/112} dostałem kontuzji głowy obsługując karabin maszynowy. Batalion "Wiktora" był ostatnim oddziałem zbrojnym, który trwał na południowych rubieżach.

Cały czas trwania walk była ewakuowana ludność wraz z dobytkiem na tereny Zamojszczyzny i Biłgoraja, w miejsca bezpieczne, ewakuowano również ciężko rannych.

Rannym udzielał pomocy dr. "Zygmunt", któremu wielu zawdzięcza życie.

Tak dobiegł nasz kres walk na terenach południa i zaczął się nowy rozdział walk z oddziałami regularnych jednostek Niemieckich.

Batalion "Wiktora", jak i plut. "Żbika" rozkwaterował się w majątku Szyskowiec. Miał to być odpoczynek po walkach na południu.

Któregoś dnia do majątku wjechało kilka wozów niemieckich wraz ze starostą hrubieszowskim.

Niemcy weszli do zabudowań i trafili do kuchni, gdzie gotowano posiłek dla żołnierzy.

Żołnierze nasi z braku ubrań nosili mundury po zabitych żołnierzach niemieckich. To wprowadziło Niemców w chwilowe odrętwienie. Trwało to niedługo, padły pierwsze strzały.

Był to sygnał dla pozostałych oddziałów, które nie znały sytuacji jaka się wytworzyła.

Na dziedzińcu rozpoczęła się walka, do której włączały się nowe grupy akowców.

Niemcy ponieśli duże straty, były również straty w zabitych i

rannych z naszej strony.

Był to czerwiec 1944r. Niemcy skoncentrowali na terenie lubelszczyzny kilka dywizji piechoty, artylerii, czołgów, lotnictwa oraz policji do likwidacji partyzantki. Pacyfikacją objęte zostały powiaty Hrubieszów, Zamość, Biłgoraj, Tomaszów Lubelski, Krasnystaw.

Oprawcy otaczali wioski, mordowali ludność nieoszczędzając nikogo. Palili zabudowania, równając z ziemią wszystko, palili żywcem ludność spędzoną do stodół, względnie roztrzeliwali dzieci, niewiasty i mężczyzn bez względu na wiek.

Oddziały nasze wywijały się w ciasnym terenie unikając bezpośredniego starcia.

Lecz wróg szedł tropem i osaczał zwartym pierścieniem piechoty, czołgów, dział, oraz lotnictwa, dążąc do całkowitego zniszczenia oddziału.

W takiej sytuacji znalazł się batalion "Wiktora" osaczony w lesie pod Czechówką.

Rozpoczął się tragiczny czas dla oddziału. Pierścień ludzi uzbrojonych po zęby, dysponujący najnowszymi środkami technicznymi atakował garstkę ludzi, którzy walkę podjęli.

Wszystkie ataki piechoty niemieckiej załamywały w ciągu trzydniowego oblężenia.

Batalion w nocy przebił się przez pierścień wroga i wydostał się na zewnątrz.

Pluton "Żbika" został na swoim starym terenie, w Czartori i wziął udział w bitwie pod Swidnikami, gdzie został zdziesiątkowany.

Ja w tym czasie z "Porębą" obaj z plut. "Żbika" zostaliśmy włączeni do plutonu wzmocnionego bronią maszynową do transportu ciężko rannych.

Dowództwo nad plutonem powierzono "Stokowi". Obsługiwałem rkm produkcji czeskiej, z którym cały czas nie rozstawałem się.

Rannych mieliśmy przetransportować do powiatu Krasnystaw, skąd tamtejsze oddziały miały nimi się zaopiekować.

Po całonocnym marszu bezdrożami o świcie dotarliśmy do spalonego majątku, z którego został jakiś kurnik, czy komórka.

Z prawej strony była pionowa skarpa wysokości ca 100m, na szczycie której stał czołg niemiecki.

W tej sytuacji na rozkaz lekarza "Zygmunta", który opiekował się rannymi, złożyliśmy rannych w komórcę. Z rannymi został dr "Zygmunt" i sanitariuszka "Cyganka".

My natomiast zajęliśmy stanowiska w małym zagajniku obok spalonego majątku.

Cały dzień patrzyliśmy na przemarsz wojsk niemieckich, czołgów i artylerii, które sunęły falami przez pola.

Leżąc z "Porębą" na stanowisku - był amunicyjnym, daliśmy sobie słowo, że w wypadku, gdyby któryś z nas został ranny i nie mógł sobie poradzić, drugi go dobije.

Sytuacja była tragiczna.

Wystarczyło, by jakiś czołg, lub samochód z wojskiem zboczył z toru jazdy i przejechał bliżej naszych stanowisk.

Szczęśliwie doczekaliśmy wieczora, a wraz z nim wybawienie.

Nie wiadomo skąd, zjawił się jakiś człowiek, który oświadczył, że zna rozmieszczenie stanowisk niemieckich i przeprowadzi nas do lasów bonieckich.

Z zachowaniem największych środków ostrożności dotarliśmy szczęśliwie.

Wchodząc do lasu, a właściwie zostaliśmy wprowadzeni wyznaczoną drogą przez patrol oddziałów, które wcześniej przedarły się do lasu i zaminowały wszystkie drogi.

Z prawej strony wraz z nami wchodził duży oddział wojska. Było to miłe spotkanie z bat. "Wiktora", który przebił się z okrążenia.

Całą noc nie spaliśmy. Dokoła płonęły wioski i było słychać warkot silników.

Rano została odprawiona msza św. przez księdza, który był wśród nas. Ktoś powiedział, że ksiądz nazywa się Wyszyński.

Nabożeństwo podniosło ducha w oddziałach.

Lasy bonieckie należały do posiadłości hr. Potockiego.

W majątku Bończa kwaterował sztab niemiecki.

Po rozmowie księdza z hr. Potockim została przeprowadzona rozmowa hr. Potockiego i gen. prowadzącym akcję pacyfikacyjną.

W trakcie rozmowy hrabia zapewniał generała, że w lesie znajdują się mała grupa partyzantów sowieckich, w liczbie około 25 osób.

wanie lasu nie ma celu.
W lesie przebywało w tym czasie, łącznie z ludnością cywilną parę tysięcy ludzi.

Następnego dnia po południu zapytałem "Porębę" czy wraca ze mną do oddziału.

Zadanie, jakie przeprowadziliśmy pod rozkazami "Stoka" zostało zakończone i oddział rozwiązał się.

Wieczorem obaj z "Porębą", głodni - od dwóch dni nic nie mieliśmy w ustach, obraliśmy kierunek Czartoria, tam mieliśmy nadzieję spotkać pluton "Żbika".

Nad ranem dotarliśmy do Czartori. Droga była ciężka i niebezpieczna, lecz możliwa do przejścia.

Pluton zastaliśmy zdziiesiątkowany w walce poprzedniego dnia pod Swidnikami.

Sporo było zabitych i rannych, a ich miejsce zajęli nowi.

Ciągłymi zmianami miejsca postoju unikaliśmy otwartej walki z wrogiem.

Front wschodni ciągle zbliżał się, każdy dzień przybliżał nas do wyzwolenia.

Bez przerwy tropiły nas również samoloty.

Przewagę nad wrogiem w naszej walce dawała nam znajomość terenu i pomoc społeczeństwa.

Te atuty zadecydowały o naszym przetrwaniu.

Dwudziestego czerwca 44 roku kwaterowaliśmy w miejscowości Krzaki. Miejscowość położona była w lesie, oddalona od szosy Hrubieszów - Zamość około pół kilometra.

Na szosie panował ożywiony ruch wojsk niemieckich.

Dostałem rozkaz od z-cy Kom. Obw. "Azji" ustalenia, jakie jednostki wojsk niemieckich wycofują się.

Zgłosił się jakiś żołnierz na ochotnika pójścia ze mną.

Między lasem a szosą był cmentarz, z którego było dobre pole obserwacji.

Leżąc na cmentarzu, w pewnym momencie zauważyłem z tyłu nas przejeżdżający patrol niemiecki na rowerach zdążający połą drogą w kierunku Krzaków.

Przepuściliśmy patrol i miedzą między zbożem wycofaliśmy się do oddziału.

Tu zastaliśmy pustkę, nie było nikogo. Od domu, gdzie mieścił się sztab, skierowałem się do leśnej drogi idąc aleją żywopłotu z grabów, które zasłaniały horyzont.

Dochodząc do drogi zauważyłem krowy, a na krzyżowce dróg natknąłem się na Niemca. Poderwałem stema, lecz Niemiec skoczył między krowy i zniknął mi z oczu.

Mój kolega również zniknął, zostałem sam.

Tu miałem możliwość obserwacji przedpoła kryjąc się za żywopłotem.

Zauważyłem, że stado krów zaczyna się rozchodzić, co świadczyło o tym, że ich dozorczy uciekli. Były to krowy rasowe, zabrane

Polakom.

Znałem ten teren dobrze i domyślałem się gdzie mógł przenieść się oddział. Zebrałem stado krów i popędziłem do miejsca, gdzie mógł być oddział.

Przypuszczenia moje były trafne.

W miejscu nowego postoju poza żołnierzami było dużo cywilnej ludności. Zameldowałem się d-cy "Azji", który rozkazał rozdać krowy ludności.

Tego dnia w porze południowej do lasu weszła tyraliera wojsk sowieckich. A obóz nasz odwiedziło siedmiu oficerów armii sowieckiej.

Był to dla nas szczęśliwy dzień, dzień, który przyniósł nam koniec czarnej okupacji, lecz niewiedzieliśmy o naszej przyszłości.

Rozmowa z naszymi gośćmi nie kleiła się.

Za dużo padło wyrazów "Dlaczego".

Dlaczego mamy kontakt z Londynem, czy wiemy kto to jest Wanda Wasilewska itd..

Oficerowie odchodząc nakazali nam, aby o godz. 16⁰⁰ wszyscy oficerowie i podoficerowie AK zameldowali się u ich generała w miejscowości Horyszów.

Znaliśmy te chwytły. Podobnie postąpiono z oddziałami AK na terenach wschodnich. Ze spotkania wszyscy zostali aresztowani i wywiezieni w głąb Rosji.

Musieliśmy się śpieszyć, by przed 16⁰⁰ rozwiązać obóz i zniknąć, ponieważ na spotkanie nikt się nie wybierał, natomiast obawialiśmy się oblawy.

Przed oznaczoną godziną, po zachowaniu broni i radiostacji w lesie nikogo nie było.

Grudzień, 1944, 1945, 1946, 1947, 1948, 1949, 1950, 1951, 1952, 1953, 1954, 1955, 1956, 1957, 1958, 1959, 1960, 1961, 1962, 1963, 1964, 1965, 1966, 1967, 1968, 1969, 1970, 1971, 1972, 1973, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1979, 1980, 1981, 1982, 1983, 1984, 1985, 1986, 1987, 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025

Grzegorz Bielecki

a. S. 1972

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr 43595.....

Stopień, imię, nazwisko .kpr.....

OSMÓLSKI PIOTR ps. "SMIGA"

Oddział .AK.....

Odznaczony został po raz 1, 2, 3, 4, 5

Medalem Wojska

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu
Głównego

z dnia 1 lipca 1948

Londyn dnia 15 sierpień 1948

M. Wałęga

Niepełny wykaz Żołnierzy Oddziału Partyzanckiego pod
dowództwem Wojciecha Sarzyńskiego/"Żbik"/

Adamczuk Anatol /" Biały"/
Adamczuk Franciszek /"Arabik"/
Adamczuk Stanisław /"Visowski"/
Adamowicz Władysław /"Tyran"/²
Baj Marian
Bak Feliks /"Puszcz"/
Bekier Marian /"Lew"/
Bohut Józef /"Gruda"/^x
Bockowski Wacław /"Grabowski"/
Broś Jan
Busiuk Władysław
Baduch Anatol /"Smok"/
Bydlicki Bronisław /"Lekki"/
Chodak Bogusław
Czara Władysław /"Semen"/
Czara Józef /"Wiktor"/
Daruk Jan /"Góral"/
Dawczuk Tadeusz /" Daniel"/
Dos Emil /" Szary"/
Drzała Stanisław /" Fuks"/
Drzewiecki Karol /" Kociuba"- "Pirat"/
Dziadosz Edward ^x
Dołgan Kazimierz
Dudek Stanisław /"Dębek"/
Flis Jan
Flis Bronisław
Gajewski Stanisław /"Przybłęda"/
Gajewski /" Krótki"/
Giza Tadeusz /" Rak"/
Gleń Jan /" Przewrót"/
Growacki Stefan /" Nowosad"/
Greniuk Stanisław /" Przybłęda"/
Gryciak Bolesław /" Pryncypał"/
Grynasiuk Janusz
Grzyb Franciszek /" Szulak"/
Horwat Aleksander /" Marek"/

Iwanienko Józef
Janiuk Franciszek /" Granat"/
Jarosz /Orzechowska/ Irena /" Kama"/
Jędruszczyk Paweł
Kalinowska/Madeja/ Czesława /" Swit"/
Kamiński Tadeusz /" Grab"/
Kapik Jan /" Zielonka"/
Kliszcz Szczepan /" Kuszer"/
Kołodziejczyk Józef
Koropatnicki Zygmunt /" Kazimierz"/
Koszuta Leszek /" Długi"/
Kowalski Marian /" Żwir"/
Kozyra Józef /" Jastrząb"/
Kozłowski Piotr /" Szybki"/
Krawczyk Bronisław/" Marchewka"/
Krawczyk Józef /" Szpak"/
Książek Jan /" Gałązka "/
Krztoń Tadeusz /" Zwinny"/
Kurek Celestyn /" Sęp"/
Kurek Tadeusz Józef /" Osa"/
Kurek Walerian /" Kawa"/
Lewandowski Tadeusz /" Szofer"/
Laszuk Feliks /"Smirus "/

Litwińczuk Franciszek
Łasocha Kazimierz /" Cichy"/
Łuchowski Jan /" Szpinak"/
Łukaszewicz /Mierzwa/ Franciszka /"Szarotka"/
Łukaszewicz Franciszek
Madej Bolesław /" Port"/, Uwaga: istnieje rozbieżność pisowni
tego nazwiska Madej?

Madej Jan /" Ostry"/
Madej Czesława /" Swit"/
Madej Marian
Marcyniuk Edward /" Topór"/

Marczuk /Rój/ Józefa /" Malwa"/

Margol Jan /" Kulesza " /^x

Mieżwa Franciszka

Mazurek Bronisław /" Kwiatkowski " /

Mołdoch Władysław /" Gołąb"/

Mołdoch Bolesław

Mołdoch Wacław

Martyniuk /Stopyra/ Łucja /" Jutrzenka"/

Matwiejczuk Witold /" Szczygieł"/

Mazur Adam

Michalski Wiktor /" Grad"/

§" Spec"/ - prawdopodobnie chodzi tu o Stanisława Sobczuka, którego nazywano "Misiem". Informacja ta powinna być potwierdzona lub wykluczona.

Morelowski Bogdan /" Mucha"/^x

Mosiak Adolf

Muzyczuk Jan Roman /" Brzask"/

Muzyczuk Zbigniew /" Krępy"/

Nowakowski Zbigniew /" Skowronek"/

Nowicki Jerzy /" Poręba"/

Niedźwiedź /" Bajka"/

Olejarz Tadeusz /" Bat"/

Osmólski Władysław /" Sęp"/

Osmólski Piotr /" Smiga " /

Otrocki Jan /" Wezyr"/

Paul /Surma/ Zofia /" Pszczółka"/

Pawluk Franciszek /" Gruby"/

Pokrywka Adam /" Kruczek " /

Pokrywka Władysław /" Sowa " /

Regulski Stefan /" Szum"/

Rogowski Adam /" Granat"/, Uwaga: pseudonimy powtarzały się taki sam pseudonim miał Janiuk Fr.

Rój Bronisław /" Skowron"/

Rój Stanisław /" Czajka"/

Rój Władysław /" Dąb"/

Rój Tadeusz /" Piechur"/

Rój /Trybolska/ Zofia /" Zorza"/
Sarzyński Wojciech /" Żbik"/
Sendrak Winicjusz /" Warkocz"/
Sobczuk Stanisław /" Spec"/ - patrz: "Miś" /NN/
Staszczuk Marian /" Nigera"/
Strzelecka Jadwiga /" Anna"/
Surma Kazimierz /" Paw"/
Swatko Piotr /" Sokół"/ x
Szewczuk Edward /" Grzmot"/
Szkoda Stanisław /" Sztachetka"/
Szeptarska/Zawalska/ Albina /" Rosa"/
Szeptarski Józef /" Kruk"/
Szumiata Stefan /" Twardy"/
Szustakiewicz Franciszek /" Szczapa"/x
Szustakiewicz Kazimierz /" Świt"/x
Szustakiewicz Roman /" Żuraw"/x
Szustakiewicz Wacław /" Hak"/x
Szymczak Ireneusz /" Odmęt"/
Świderek Adam /" Zawierucha"/
Tkacz Józef /" Niedziela"/
Tokarz *Szymon* /" Oracz"/ *Krzysztof Rejzner*
Tokarz Maria /" Marta "/
Tokarz Zofia /" Rezeda"/
Tokarz Łucja
Tomaszczuk Franciszek /" Kruczek "/
Trochimowicz /Wińska/ Henryka /" Reneta"/
Wiącek Józef /" Kłos"/
Wiśniewski Jan /" Róg"/
Wiśniewski Józef /" Gruda"/
Witosławska /Mazur/ Salomea /Jagoda"/ x
Wrębiak Genowefa /" Malwa"/
Wróblewski Mieczysław /" Szum"/, Uwaga: taki sam ps. miał Regulski
Wysocki Franciszek /" Lawina"/
Zabrodzki Antoni
Zawalska/Trybolska/ Helena /" Wisienka"/
Żarnecki Stanisław /" Ksztanek"/
Żołnierczuk Marian /" Zajączek"/

/¹ Na wykazie nie umieszczono żołnierzy z plutonu terytorialnego "Flakona"/Jan Lisiecki/, którzy jednorazowo włączeni zostali w skład oddziału "Żbika" na akcję w Kazimierówce w maju 1944. Byli to m.in. : Bronisław Danyluk /" Madej"/, Greniuk Marian Bolesław Janiuk /" Górecki"/, Antoni Kaliszczyk, Florian Kołodziej, Zofia Surma/" Wrzos"/, Józef Szczur /" Szustry"/, Stanisław Szkoda. W niektórych relacjach nazwiska te wymieniane są jako żołnierzy oddziału " Żbika".

g² Żołnierze oznaczeni " x " odeszli na początku drugiej połowy maja 1944 r. z oddziału i dołączyli do oddziału Bch "Rysia".

Straty oddziału "Żbika"

Polegli:

Daruk Jan /" Góral"/ - rozstrzelany z wyroku sądu konspiracyjnego w dniu 14.VI.1944 r, posądzony o działanie na rzecz Niemców.

Drzewicki Karol /" Kociuba"," Pirat"/, zaskoczony na kwaterze w Kazimierówce w dniu 15.V.1944 r., zastrzelony podczas próby przebicia się.

Głowacki Stefan /" Nowosad"/- poległ w dniu 12.VI.1944 r. w walce pod Świdnikami.

Kurek Celestyn /" Sęp"/, poległ j.w.

Kurek Tadeusz Józef /" Osa"/ - poległ w dniu 27.II.1944 r. podczas akcji na załogę posterunku policji ukraińskiej z Grabowca we wsi Pielaki.

Madeja Jan /" Ostry"/ - zginął w dniu 24.IV.1944 r. w Czartorii Krzakach w wyniku nieostrożnego obchodzenia się z granatem.

Olejarz Tadeusz /" Bat"/ - poległ w walce z Niemcami w dniu 12.VI. 1944 r. pod Świdnikami.

Ranni, bądź wzięci do niewoli

Adamczuk Anatol /" Biały"/ - ranny 12.VI.1944 r. pod Świdnikami

Kurek Walerian /" Kawa"/ - jak wyżej

Łasocha Kazimierz /" Cichy"/ - ranny pod Świdnikami, dostał się
do niewoli, odbity 13.VI. przez patrol Kedywu,
powtórnie dostał się do niewoli w dniu 15.VI.
Wojnę przeżył.

Martyniuk /Stopyra/ Łucja j.w.

Rój Stanisław /" Czajka"/ - dostał się do niewoli w dniu 12.VI.
1944 r. pod Świdnikami.

Sarzyński Wojciech /" Żbik"/ - ranny w walce pod Świdnikami
w dniu 12.VI.1944 r.

Szymczak Ireneusz /" Odmęt"/ - ranny w walce pod Świdnikami
w dniu 12.VI.1944 r.

Tkacz Józef /" Niedziela"/ - ranny pod Szerokiem w dniu 15.VI.44

Zabrocki Antoni - ranny 12.VI.1944 r. pod Świdnikami, dostał się
do niewoli , dalsze losy nie ustalone.

Żarnecki Stanisław /" Kasztanek"/ - ranny w walce pod Świdnikami
w dniu 12.VI.1944 r.

Żołnierczuk Marian /" Zajączek"/ - ranny w dniu 15.VI.1944 r.
pod Szerokiem.

Odeszli do Batalionów Chłopskich

Kapik Jan /"Zielonka"/
Książ Jan /"Gałązka"/
Luchowski Jan /"Sapinak"/
Morga Jan /"Kulesza"/
Moralewski Bogdan /"Mucha"/
Swatko Piotr /"Sokół"/
Szustakiewicz Franciszek /"Szczapa"/
Szustakiewicz Kazimierz /"Świt"/
Szustakiewicz Roman /"Żuraw"/
Szustakiewicz Wacław /"Hak"/
Witosławska/Mazur/Salomea "/Jagoda/"